**Marek Hłasko**

Ani wstęp, ani posłowie

To jest okropna historia pisać wstęp lub posłowie. We wstępie autor książki usiłuje przeważnie ustawić swoich czytelników, w posłowiu zaś – usprawiedliwić się z tego lub owego. Chciałbym bardzo uniknąć i pierwszego, i drugiego – stąd ten głupi tytuł, ale ci, którym ta książka wyda się fantastycznie nieprawdziwa, niech zechcą przyjąć ode mnie maleńką garść informacji – co oczywiście nikogo do niczego nie zobowiązuje.

Nie pamiętam, kiedy to się zdarzyło. Kiedy sięgam myślą w tamten czas i znów widzę rozchlapane drogi, śliskie zakręty, rozklekotane samochody i obdarte postacie, kiedy wydaje mi się, że słyszę wrzask silnika druzgoczący słodką ciszę gór, to jestem prawie pewien, że zaczęło się to owego dnia, kiedy wszyscy pojechali do lasu i wypadł mój „dyżur” obierania kartofli. Pamiętam dobrze, że obrałem te kartofle i ugotowałem, potem rozgotowały mi się na miazgę, gdyż zbyt długo trzymałem je na ogniu, więc już wieczorem, przy świetle naftówki, częściej trafiając nożem we własne kości niż w kartofel, obierałem po raz drugi i znów gotowałem na ogniu podsycanym pakułami i ropą; potem odlałem wodę z tych kartofli i z rozpaczą obserwowałem, jak dębieją; i słyszałem już te przekleństwa, którymi będą we mnie ciskać, i ciągle jeszcze – mimo iż kartofle znów rozsypały się w przykrą paćkę – wierzyłem, że wrócą. Ale nie wrócili. W środku nocy obudzili mnie ludzie z pobliskiej wsi, a potem biegłem kilometrami przez śnieg, osłaniając światło lampy dłonią; i stanąłem wreszcie nad potokiem, na którego dnie leżał samochód: nie dżems, ale studebaker, pamiętam jak dziś. Za parę dni przyjechała komisja i nowi kierowcy; i znów woziliśmy drzewo na innych, tak samo złych, samochodach. Aha, zapomniałem dodać, że ci, dla których gotowałem kartofle, także leżeli na dnie owego zamarzniętego potoku. Ale oni już nigdy więcej nie wozili drzewa. I nie jedli kartofli. Ani niczego.

Teraz widzę jednak, że to nie wtedy się zaczęło. Zaczęło się to wszystko wcześniej. Zaczęło się to w mieście i od tego, że ze swojej winy rozbiłem wóz i nie mogłem nigdzie dostać pracy. Łaziłem od bazy do bazy, od warsztatu do warsztatu i wszędzie ciągnęła się za mną sława tego, który „sztachnął”[[1]](#footnote-1) wóz. Nie chciałem zmieniać zawodu; wolałbym umrzeć, niż odejść od kierownicy – ci, którzy jeżdżą lub jeździli, zrozumieją mnie – nie mogłem. Ale nie mogłem również o nic się zaczepić: byłem młody, dyspozytorzy i kierownicy transportu patrzyli na mnie z niedowierzaniem, kazali mi się dowiadywać za dzień lub za miesiąc i w końcu musiałem pryskać w góry. Tam nikt o nic nikogo nie pytał, tam wszystko było jasne; to znaczy, że na góry i na tę robotę nie ma innych amatorów. Przyjechałem nocą do miasteczka B., przespałem się w brudnym i zimnym hoteliku – a następnego dnia byłem już w górach; jechałem czystymi, jasnymi drogami i wierzyłem w to, że będę tędy jeździć wiecznie i kochać góry, ich ciszę, ich hałas, ich wściekłość i ich spokój. Jechałem długą, jasną drogą: jakąś dziwnie równą jak na leśny dukt, ale w pewnym momencie, po przejechaniu któregoś tam zakrętu, musiałem się zatrzymać – w dole leżał samochód, leżało drzewo i leżał człowiek, i ja byłem pierwszym, który to zobaczył.

Nie, teraz dopiero widzę, że wszystko pokręciłem. To się na pewno zaczęło owego dnia, kiedy ładowaliśmy drzewo gdzieś bardzo wysoko i w duży mróz. Tak, na pewno. Wozy stały na dukcie, a my na legarach podtaczaliśmy kłody. Trzech; jeden z jednego końca, drugi z drugiego, trzeci w środku. Jeśli puści ten w środku, to ci z boku zdążą jeszcze odskoczyć. Jeśli jednak puści któryś z bocznych – wtedy właśnie puścił jeden z bocznych i oblodzony kloc zmiażdżył mu kręgosłup, a stało się to tak szybko i tak zwyczajnie, że nie było w tym nic strasznego, nic wielkiego i nie bardzo rozumiem, dlaczego to tak dobrze pamiętam. Pamiętam, że staliśmy nad tym człowiekiem i nie można go było ani podnieść, ani przenieść, ani zawieźć do miasta, bo nie było czym, i wiedzieliśmy wszyscy, że to koniec; a on wiedział także i wrzeszczał, ile razy chcieli go przenieść z drogi w bok – aby wozy mogły jechać do tartaku. Wszyscy stali nad nim, wszyscy przestępowali z nogi na nogę, bo zimno było okropnie: silniki w samochodach pracowały bez przerwy, bo z zapuszczaniem tych starych wozów zawsze był kłopot i wszyscy się wściekali i dąsali, że to tak strasznie długo trwa, a wiadomo przecież, że i tak jest po wszystkim. Więc odchodzili w bok i odlewali się, i poprawiali silniki, i tupali, bez przerwy tupali, bo naprawdę był to wyjątkowo zimny dzień i wszyscy już mieli wszystkiego dość – i jeżeli pamiętam ten dzień, to chyba tylko dlatego, że odbywało się to wielkie tupanie; to tak, jakby złościli się na niego, a jednocześnie chcieli mu dopomóc. A potem nagle zapanowała jakaś radość i ożywienie; i wszyscy stali się dla siebie lepsi i milsi – kiedy już było po wszystkim i nareszcie można było założyć z powrotem czapki. Nie wiem, dlaczego nie napisałem tej akurat sceny w książce. Może dlatego, że chciałbym umrzeć sam, nie widząc nad sobą żadnej twarzy i nie słysząc żadnych słów ani niczego. Ale to było.

Było to wszystko w górach i na drogach, byłem i Warszawiakiem, i Zabawą, i Dziewiątką, i Wandą, i Orsaczkiem, i Apostołem, i żadnym z nich. Takie jest prawo człowieka, który żeby przekazać prawdę, musi zmieniać i zmyślać fakty. I tu już powinienem skończyć, tylko jeszcze dwa zdania. Napisałem kiedyś opowiadanie, które jest hańbą mojego życia i którego tytułu za nic nie przytoczę; ale jedna ze scen tej książki była już w tym opowiadaniu. Proszę mi wybaczyć, że powtarzam ją tutaj po raz drugi, ale ten człowiek – Dziewiątka – naprawdę, choć to nie jest żadnym moim usprawiedliwieniem, zginął; i chyba tak, jak ja bym chciał zginąć. Boję się szpitala, zastrzyków, nocników i okrucieństwa lekarzy – więc proszę mi wybaczyć. Proszę mi również wybaczyć tę książkę – pękniętą i nierówną, ni to relację z własnego życia, ni to fantazję, gdzie wszystko pomieszało się ze sobą i nikt już się w tym nie rozezna; ale napisałem ją z wielkiej miłości do samochodu. Do samochodu – najpiękniejszej rzeczy, jaką wymyślił człowiek dwudziestego wieku; jedynej rzeczy, dzięki której można uciec od życia, od siebie i od innych.

Nie stawiam żadnej daty. Mimo wszystko nie pamiętam, kiedy i gdzie się to zaczęło; wiem również, że nie skończyło się jeszcze. Zapytajcie innych. Oni nie muszą zmyślać, a wszystko, co było, jest i będzie, przetrwa w ich słowach i w ich sercach – na tym polega zmora.

1. Tu w znaczeniu uszkodził, zepsuł [↑](#footnote-ref-1)